

Ścieżka okazała się wąska, nierówna, a przy tym piekielnie stroma. Jednak Skandianie, mimo potężnego wzrostu i masy, pieli się po niej w ślad za wodzem bez trudu, niczym kozice. Czasem ten czy ów stęknął od wysiłku, bywało też, że jakiś kamyk potoczył się w dół, tracony butem jednego z wojów, lecz poza tym pospieszna wspinaczka odbywała się bez zbędnych hałasów. Rażnym truchtem zbliżali się do Al Shabah.

Wszystko to kwestia kompromisu – przyszło na myśl Erakowi. Poprzednio wybrał mniejsze ryzyko, podpływając wzdłuż wybrzeża; teraz również trzeba było zachować rozsądne tempo, by przez zbyt ni pośpiech nie zdradzić własnej obecności oraz nie zaalarmować przedwcześnie obrońców. Zarazem, im więcej czasu zajmie im dotarcie do celu, tym większe prawdopodobieństwo, że i tak zostaną zauważeni. Gdy utracą przewagę wynikającą z zaskoczenia, walka stanie się o wiele cięższa.

Gdyby jednak poruszali się prędzej, siłą rzeczy narobiliby hałasu, więc ktoś niewątpliwie by ich usłyszał. Należało tedy znaleźć złoty środek, co w tym wypadku sprowadzało się do miarowego truchtu – wolniejszego niż bieg, szybszego od marszu.

Ich buty z miękkiej foczej skóry dudniły głucho na piasku i kamieniach, czyniąc przy tym więcej hałasu, niżby Erak sobie życzył, lecz wedle jego oceny odgłos stóp nie powinien być słyszalny w mieście, nawet jeśli znajdował się tam ktoś, kto czujnie nastawiał ucha.

W pewnej chwili jeden z ludzi, tuż za Erakiem, stracił równowagę, zachwiał się i, wymachując rozpaczliwie rękami, balansował na samej krawędzi stromego urwiska opadającego wprost do morza. Szczęściem topór miał zatknięty za pas, bo w przeciwnym wypadku zapewne ściałby nim kilka głów swoich towarzyszy. Wydał mimo woli stłumiony okrzyk, a spod jego stóp posypały się kamienie, turlając się po zboczu. Jeszcze ułamek sekundy i on także runąłby w dół, lecz żelazny uchwyt dłoni pochwycił go za kołnierz baranicy. Ocalony przez oberjarla wojownik znów poczuł pewny grunt pod nogami.

– Na wszystkich bogów! Wielkie dzięki, dowódcu... – zaczął, ale resztę słów w ustach pechowca stłumiła wielka dłoń. Erak potrząsnął towarzyszem, przysuwając swą gniewną twarz do jego oblicza.

– Zamknij pysk, Axelu! – rozległ się wściekły szept. – Jeśli postanowiłeś skrócić sobie kark, zrób to po cichu, bo inaczej sam ci go skręcę.

Axel, jeden z wioślarzy, nawet jak na Skandianina był wyjątkowo rosnącym mężczyzną. Pośród skandyjskich wojów ci zasiadający u wiosł nie cieszyli się opinią tęgich myślicieli, jednak nie przeszkodziło to Axelowi skonstatować oczywistego wszak faktu, że jeśli już raz kark sobie skręci – po cichu czy nie – Erak nie będzie miał więcej po co czynić tego powtórnie. Już miał zwrócić uwagę wodzowi na ów logiczny wniosek, ale w porę się powstrzymał. O ile w gniewie logika nieraz zawodziła oberjarla, tym bardziej bywał wówczas skory do posługiwania się ciężką pięścią dla rozstrzygnięcia sporu.

Axel, choć potężnej postury, nie miał najmniejszej chęci wdawać się w bitkę z Erakiem.

– Wybacz, dowódcu. Ja tylko... – wymamrotał, ale Erak znów nim potrząsnął.

– Milczeć! – syknął. Zerknął niespokojnie ku górze, by przekonać się, czy okrzyk wioślarza i lawina spadających kamieni nie wzbudziły podejrzeń obrońców.

Wszyscy Skandianie czekali przez kilka minut w milczeniu. Jednak uspione miasto milczało, nie dochodził zeń żaden odgłos, toteż napięcie pośród napastników wkrótce zelżało. Erak bez słowa wskazał przed siebie i znów ruszył naprzód, truchtem pod górę. Gdy od szczytu dzieliło ich już tylko parę metrów, dał znak ludziom, by się zatrzymali, po czym skinął na Svengala. Resztę dystansu przebył, czołgając się, Svengal pełzył tuż za dowódcą.

Gdy osiągnęli szczyt zbocza, Erak wyrzwał ostrożnie. Wreszcie, nie widząc powodu do niepokoju, uniósł się nieco, żeby lepiej widzieć. Jego towarzysz uczynił to samo; teraz dwaj potężni Skandianie na klęczkach dokonywali oceny sytuacji.

Miasto Al Shabah wznosiło się jakieś czterdzieści metrów przed nimi, otoczone niskim glinianym murem, nie sięgającym nawet dwóch metrów wysokości. Nawet jeśli strzegli go strażnicy, takie ogrodzenia nie stanowiło dla Skandian poważniejszej przeszkody. Pokonywali je sprawnie i szybko w prosty sposób: dwóch wojowników ustawiało się pod ścianą, trzymając na wysokości pasa drzewce starego wiosła. Pozostali wskakiwali na nie z rozpędu, po jednym, następnie ci dwaj stojący pod murem wyrzucali ich w górę – a towarzysze kolejnym skokiem znajdowali się już na szczycie. Wymagało to niezłej koordynacji, jednak Skandianie od dzieciństwa ćwiczyli się w umiejętności pokonywania przeszkód tą metodą.

Jednak tym razem nie było potrzeby niczego pokonywać. Na murach nie dostrzegli strażników. Co więcej, po prawej stronie znajdowała się zwieńczona łukiem brama. Podwoje stały otworem, nikt nie pilnował.

– Aż za łatwo – skrzywił się Svengal.

Jego dowódca zmarszczył brwi.

– I mnie się tak zdaje – stwierdził. – Gdzie się podziały straże? Nikt nie stoi na czatach?

Svengal wzruszył ramionami. Choć nie widzieli strażników, obaj nadal rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Cóż, bywa i tak. Bądź co bądź, zaszliśmy ich od kuchennych drzwi – zauważył. – Wartownicy, o ile są tu w ogóle jakieś straże, pewnie czuwają po stronie morza. Spodziewają się, że jeśli dojdzie do napaści, to właśnie stamtąd.

Erak w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Może i tak – przyznał. – Czekaj tu, a ja przyjrę się z bliska.

Przebiegł skulony przez otwartą przestrzeń dzielącą go od murów. W każdej chwili spodziewał się groźnego krzyku „stój!”. Dzwonu bijącego na alarm. Ale nie, Al Shabah wciąż trwało pogrążone w ciszy. Dopadł muru, przemknął pod nim aż do bramy. Jednym płynnym ruchem wydobył potężny topór z za pasa, przerzucił go do prawej ręki, a potem z szybkością zdumiewającą u tak potężnie zbudowanego mężczyzny dał susa w otwór bramy. Rzucił błyskawiczne spojrzenie na prawo, potem na lewo, z bronią gotową do uderzenia, tarczą wzniesioną dla osłony.

Cisza.

Za bramą zaczynała się wąska ulica, utworzona przez domy o płaskich dachach. Pośród bielonych ścian ziały czernią nieliczne okna. Wszystkie drzwi solidnie zamknięto. Martwa cisza. I bezruch. Jakby wszyscy mieszkańcy Al Shabah opuścili miasto.

Erak wahał się przez kilka chwil. Taka cisza nie podobała mu się. Nawet u tylnej bramy powinien czekać strażnik, choćby jeden. Być może jednak Svengal miał rację, Arydzi strzegli strony miasta zwróconej ku morzu.

Wszyscy czatownicy wyteżali wzrok, wypatrując nadpływających okrętów. Albo, kto wie, może zgnuśniali od bezczynności. Minęło już ponad dwadzieścia lat od ostatniej napaści Skandian. Mieszkańcy nadbrzeżnych miast czuli się bezpiecznie, ufając, że obroni ich tajemnica. Czego mieli się obawiać – skoro nikt nie wie, czy miejski skarbiec pełen jest złota, czy też skrzynie pozostają puste? Wszakże to tylko szczęśliwy traf sprawił, że Erakowi trafił się ów przekupny Aryda, który zechciał mu zdradzić tak pilnie strzeżony sekret.

Potrząsnął głową. Wódz doszedł do wniosku, że zamiast dzielić włos na czworo, czas czym prędzej brać się do dzieła. Co się z nim dzieje, czyżby przez te lata, gdy nie wyściubił nosa z Hallasholm, stał się mazgajem, marudnym jak stara baba? W mgnieniu oka podjął decyzję. Cofnął się do bramy i dał znak Svengalowi oraz innym, by doń dołączyli.

Znów rozległ się tupot butów na piasku, lecz miasto nadal było jakby martwe. Svengal popatrzył pytająco na dowódcę.

– Dokąd teraz?

Erak wskazał drogę ostrzem topora.

– Tą ulicą, bo chyba prowadzi w dobrym kierunku. Miejcie topory w pogotowiu i oczy otwarte.

Ruszył przodem, reszta oddziału za nim, w dwóch szeregach. Szli ostrożnie, rozglądając się wokół. Co chwilę dwaj idący na ostatku odwracali się, by sprawdzić, czy nieprzyjaciel nie podąża za nimi; wszyscy spoglądali na dachy domów po obu stronach ulicy, ale nigdzie nie było widać ani śladu wroga.

Uliczka skręcała nieco ku środkowej części miasta, aż wreszcie wyprowadziła ich na prostokątny plac, którego cały jeden bok zajmował większy budynek. Erak domyślił się, że w nim właśnie mieści się oficjalna siedziba miejskiego urzędu – zaraz, jak to u nich zwie się taka budowla? Tak, już sobie przypomniał: *khadif*. Odpowiednik ratusza a zarazem urzędu celnego w miastach Północy.

Na ten sam plac wychodziło jeszcze kilka innych wąskich ulic. Budynki tworzące trzy pozostałe pierzeje rynku – zapewne sklepy, gospody i zajazdy – przyozdobione zostały od frontu kolumnadami i gankami dającymi podczas skwarnych dni tak pożądaną w tych okolicach cień. Erak odruchowo spojrział na wschód; niebo rozjaśniało się już różowymi smugami. Także wzdłuż frontowej ściany khadifu ciągnęła się kolumnada. Był to jedyny piętrowy budynek w zasięgu wzroku, także o płaskim dachu, lecz ukrytym za ozdobną attyką, która miała mu przydawać dodatkowego splendoru. Pośrodku placu wznosiła się niewielka fontanna. Nie tryskała wodą, choć jej sadzawka była pełna.

Erak wyszedł na plac, a jego wojownicy za nim. Gdy tylko znaleźli się na rozleglejszej przestrzeni, utworzyli romboidalną formację, na czele której maszerowali oberjarl, Svengal i Axel. Kilku Skandian zawarczało toporami w powietrzu, gdy tak przemierzali rynek, kierując się ku piętrowej budowli. Wciąż jednak w mieście panowała głucha cisza. Rozjaśniało się, ich postacie rzucały teraz długie cienie o fantastycznych kształtach. Erak wszedł po marmurowych schodach prowadzących do potężnych, podwójnych wrót khadifu. Otaksował je wzrokiem. Solidne – stwierdził. Twarde drewno, mosiężne okucia, porządny, mocny zamek. Tyle, że Skandianie dysponowali własnymi kluczami do takich drzwi.

Skinął na dwóch co roślejszych wioślarzy.

– Rębać – polecił krótko, wskazując wrota.

Obaj wyszczerzyli się w uśmiechu. Jeden ze wskazanych odłożył na chwilę topór, splunął w dłonie, po czym pochwyił drzewce oburącz. Erak cofnął się, by dać mu miejsce na porządny zamach.

– Stać!

Rozkaz rozbrzmiał echem pośród kompletnej ciszy, więc zaskoczeni Skandianie odwrócili się gwałtownie. W jednej z bocznych uliczek pojawiła się jakaś postać krocząca w ich stronę. Kilku ze Skandian zakłęto szpetnie. Erak zmrużył oczy. Poczł paskudny ucisk w żołądku. Miał słusność, gdy brak strażników wydał mu się podejrzany...

Nowo przybyły okazał się mężczyzną smukłym oraz wysokim, strojnie odzianym na zwykłą modłę arydzkich wojowników. Długą białą koszulę i szerokie spodnie, bez wątpienia z kosztownej tkaniny, zakrywał okuty metalem skórzany kaftan. U boku wisiła długa, krzywa szabla, na ramieniu niósł okrągłą tarczę, także wykonaną z metalu – przypuszczalnie z mosiądzu. Erak zauważył, że pośrodku tej tarczy znajduje się długi, ostry kolec. Zatem broń służyła nie tylko do obrony, lecz również do ataku. Stroju dopełniał spiczasty hełm, wciśnięty na zwój cienkiego materiału owiniętego wokół głowy. Przypuszczalnie, jak sądził Erak, miało to służyć ochronie skóry przed poparzeniem od rozpalonego w słońcu metalu.

Do wypolerowanego, lśniącego hełmu przymocowano kolcze osłony chroniące kark oraz szyję, co wraz z kosztowną zbroją pozwalało wnioskować, że osobnik zalicza się do oficerów wysokich rangą.

Już po chwili tą samą uliczką nadciągnął oddział żołnierzy, którzy nadbiegli truchtem w dwóch szeregach i natychmiast zajęli pozycje po obu stronach swojego dowódcy. Na oko zgromadziło się ich co najmniej czterdziestu.

Widząc arydzkich wojowników, Skandianie poruszyli się niespokojnie.

– Czekać! – warknął na nich przez zęby oberjarl, po czym rzekł półgłosem do Svengala: – Mają przewagę liczebną.

– Lecz nie nazbyt wielką – zauważył Svengal, który także przeliczył przeciwników. – Myślę, że nasi chłopcy bez większego trudu dadzą radę tym strojnisiom.

W przeciwieństwie do Eraka nie zadał sobie trudu, żeby zniżyć głos, więc jego słowa doszły uszu arydzkiego oficera. Ujrzeni krzywy uśmiech na brodatym obliczu.

Aryda podniósł do ust srebrną świstawkę. Zagwizdał. Rozległ się łomot, któremu wtórował zgrzyt ciężkich bali wleczonych po kamieniach; na oczach Skandian wszystkie ulice prowadzące do placu zostały w mgnieniu oka odcięte potężnymi przegrodami ukrytymi dotąd w ścianach domów.

– Nie zauważyłem ich – rzekł półgłosem Erak do Svengala. Minęli przecież jedną z tych ukrytych barier, gdy wchodzili na plac, lecz najwidoczniej zbyt byli zaprzątnięci przyświecającym im celem, by dostrzec zagrożenie.

– Wygląda na to, że utkwiliście w pułapce – stwierdził Aryda.

Erak wyprostował się. Podniósł tarczę, jego ludzie uczynili to samo.

– Wy także – odparł.

Tamten tylko znów się uśmiechnął, w ciemnej, zarośniętej twarzy zalśniły białe zęby.

– Czyżby? – zdziwił się. – A ilu to łuczników przywozicie ze sobą?

Znów uniósł świstawkę, zagwizdał raz jeszcze, tym razem dłużej, przeciągle. Erak usłyszał jakieś odgłosy dobiegające z góry, a już w następnej chwili na dachach domów po wszystkich trzech widocznych stronach placu zaroilo się od łuczników. Nie wątpił, że więcej ich jeszcze kryło się na płaskim dachu khadifu. Nawet nie licząc tych, których nie widział, naliczył około setki, a każdy dzierzył krótki refleksyjny łuk z założoną na cięciwę strzałą wymierzoną w grupkę Skandian.

Erak przyjrzał się łucznikom i twarz skandyjskiego wodza od razu przybrała ponury wyraz. W polu bitwy zlekceważyłby ich może, bowiem łuczników wyposażono w broń o krótkim zasięgu, lecz tutaj, w zamkniętej przestrzeni miejskiego placu, skąd nie było ucieczki, strzały z takiej nawet broni stanowiły śmiertelne zagrożenie.

– Żeby mi żaden ani drgnął – polecił. Jeden fałszywy ruch, a zasypałby ich deszcz morderczych pocisków.

Axel, wojownik z krwi i kości, który wciąż stał u boku Eraka, wydał z siebie groźny pomruk. Nawet groźba stu grotów wymierzonych w jego pierś nie zdołała ostudzić kipiącego w Skandianinie bojowego zapału. Instykt berserka podpowiadał mu, że oto pora, by uderzyć, przeć na oślepe przed siebie, siać zniszczenie i śmierć.

– Dowódco, wszystkich nas nie dostaną – odezwał się. – Przynajmniej z tym gogusiem możemy się uporać.

Wysoki Aryda uśmiechnął się na te słowa i sięgnął niedbale do rękojeści krzywej szabli. Erak nie dał się zwieść pozorom; po kocich ruchach tamtego zorientował się, że pod wyszukany strojem kryje się groźny przeciwnik.

– Milcz, Axelu – już nie po raz pierwszy tego poranka uciszył podwładnego.

Aryda tymczasem postąpił krok do przodu. Spojrzał ku górze, w stronę swych łuczników i uczynił ruch ręką. Strzelcy na ten sygnał opuścili łuki, lecz uwadze Eraka nie uszedł fakt, że pozostali w gotowości, że strzałami założonymi na cięciwy.

– Możemy uniknąć rozlewu krwi – stwierdził Aryda głosem głębokim, dźwięcznym. Przemawiał spokojnie, tonem rozsądnej perswazji: – Tylko o jednego człowieka nam chodzi, inni nas nie interesują. Wydajcie go nam, a reszta będzie mogła odejść wolno.

– A o kogóż to wam idzie? – spytał Erak, chociaż miał wrażenie, że zna już odpowiedź.

– O Eraka. Tego, którego zwał oberjarlem – usłyszał słowa Arydy.

Niewiele myśląc, Axel postąpił krok do przodu, unosząc groźnie topór.

– Nim go dostaniecie, będziecie musieli poczynać sobie z nami wszystkimi! – zawołał wyzywająco.

Erak westchnął ciężko i potrząsnął głową z irytacją.

– Świetnie się spisalesz, Axelu – stwierdził. – Dzięki tobie wie teraz na pewno, że tu jestem.

Oczywiście miejsce centralne zajmował stół państwa młodych; obok ustawiono, po jego lewej stronie, stół, przy którym zasiadał Arald, lady Sandra, sir Rodney oraz cała reszta oficjeli z Redmont. Król, jako dostojny Patron i wielki mistrz ceremonii, zajmował osobny stół, przy którym towarzyszyła mu królowa Cassandra i inni dworacy.

Weselnicy ustawili się za krzesłami – najpierw państwo młodzi i świadkowie, potem król ze świtą, a następnie dworacy Aralda. Król Duncan dał wszystkim znak, by zasiedli; rozległ się hurgot krzesel na kamiennej posadzce. Sam Duncan nie siadał. Gdy rumor ustał, po dłuższej chwili, monarcha przemówił, a jego głęboki głos docierał bez trudu nawet do najdalszych zakątków sali.

– Szlachetne panie, szlachetni panowie – zaczął. Lecz zorientowawszy się, że we wszystkich drzwiach prowadzących do refektarza aż roi się od wpatrzonych weń twarzy sług zamkowych, a także ciurów, uśmiechnął się z lekka i dodał: – ...oraz wielce mi drodzy domownicy naszego zacnego gospodarza – tu przez salę przeszedł pomruk rozbawienia. – Mam zaszczyt powitać was wszystkich, gdyż powierzono mi odpowiedzialną rolę Patrona tej radosnej ceremonii.

Arald pochylił się nieco do przodu, by lepiej słyszeć króla przemawiającego po drugiej stronie sali. Nastawił ucha, bowiem miał nadzieję, że teraz wreszcie wyjaśni się, na czym polega owa funkcja Patrona uroczystości, o której jako żywo dotąd nigdy nie słyszał. Zagadka ta nurtowała go już od kilku tygodni.

– Przyznać muszę – ciągnął Duncan – że z początku nie bardzo wiedziałem, jakie są obowiązki honorowego Patrona. Zwróciłem się tedy po radę do mego niezastąpionego kanclerza, lorda Anthony’ego, a więc do człowieka, któremu nieobce są najzawilsze meandry protokołu, także etykiety.

Tu wskazał na swego doradcę, który skłonił się z wielką powagą.

– Dowiedziałem się od niego otóż, że obowiązki Patrona określone są jasno i przejrzysto – wyciągnął z rękawa skrawek pergaminu. – Jako honorowy Patron ceremonii, mam... – tu urwał i zerknął na notatkę – „przydawać celebryzacji monarszego *decorum*”. To chyba nie wymaga wyjaśnień.

Odczekał chwilę, aż umilknie szmer głosów; nikt oczywiście nie miał pojęcia, co właściwie znaczy owo *decorum* i jakim sposobem monarcha go przydaje – zapewne samą swą koronowaną obecnością. Wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że brzmi to nadzwyczaj godnie.

Lady Pauline pochyliła głowę, by skryć uśmiech. Halc dostrzegł właśnie coś bardzo interesującego w belkach sklepienia. Duncan przemawiał tymczasem dalej.

– Drugim z moich zaszczytnych obowiązków jest... – zerknął znów na trzymaną w dłoni karteczkę, udając, że nade wszystko pragnie uniknąć najdrobniejszej choćby pomyłki, cytując protokolarne kodeksy – ...sprawić jak najkosztowniejszy prezent państwu młodym!

Lady Pauline drgnęła nerwowo. Spojrzała w stronę lorda Anthony'ego, który odpowiedział jej spojrzeniem całkowicie pozbawionym wyrazu. A potem, bardzo powoli, zmrużył jedną z powiek. Ten fragment król oczywiście dodał z własnej inicjatywy i sam wymyślił, ale Anthony darzył Paulinę i Halta wielką sympatią, toteż sam chętnie poczyniłby taki dopisek i z całego serca popierał tę myśl – zwłaszcza biorąc pod uwagę szczególne zasługi, jakie zwiadowca położył dla całego kraju i osobiście dla samego króla.

– Lecz nie dość tego! – powiadał dalej król Duncan. – Cięży na mnie jeszcze jeden niebagatelny obowiązek. Który teraz właśnie bardzo chętnie spełniam. Mam bowiem uroczyście ogłosić rozpoczęcie weselnej uczty. A więc – panie Chubb, do dzieła!

Po czym zasiadł przy wtórce okrzyków aplauzu.

(...)

– Podobał mi się twój toast – powiedziała Alyss do Willa, gdy ze stołu sprzątano właśnie pozostałości po deserach.

– Mam nadzieję, że nie wypadł najgorzej – mruknął Will, nieprzekonany.

Jako drużba pana młodego wznosił puchar ku czci Halta i lady Pauline. Alyss uznała za oznakę dojrzałości fakt, iż potrafił przemówić szczerze, w dodatku bez skrępowania, publicznie wyrażając swe uczucia wobec Halta jako mistrza, jako mentora, a zarazem jako przyjaciela. Szkolona w krasomówstwie członkini służb dyplomatycznych potrafiła docenić słowa płynące prosto z serca, równocześnie przecież pozbawione taniej czułościowości.

Podczas tego przemówienia zdarzyło jej się spojrzeć na Halta i zauważyła, że groźny zwiadowca ukradkiem ociera łzę rogiem serwety.

– Poszło ci dużo lepiej, niż myślisz – zapewniła go. Lecz widząc uśmiech pojawiający się na twarzy Willa, trąciła chłopaka łokciem. – Co takiego?

– Tak sobie pomyślałem, że nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Halta w tańcu weselnym z Pauline. Jakoś nigdy nie słyszałem, by był szczególnie zręcznym tancerzem. To może być niezły widok, założę się, że straszny z niego niezdara!

– O, doprawdy? – zdziwiła się uprzejmie. – A ciekawam, jak ty sobie poradzisz?

– Ja? – popatrzył na nią, zdziwiony. – Ja nie zamierzam tańczyć! Przecież to taniec weselny, pan młody i panna młoda tańczą go sami.

– Przez jedno okrażenie wokół sali – sprostowała. – Potem dołączają do nich drużbowie, najpierw jedna para, a następnie druga.

Will zareagował, jakby go gież ukąsił. Wychylił się co prędzej, by zwrócić się przed nosem Jenny do siedzącego po jego lewej stronie Gilana.

– Słuchaj, wiedziałeś, że my też mamy tańczyć? – spytał.

Gilan przytaknął radośnie.

– Ależ oczywiście! Jenny i ja ćwiczyliśmy ten taniec przez ostatnie trzy dni, prawda, Jen?

Jenny popatrzyła na niego z uwielbieniem w oczach i skinęła tylko głową. Jenny zakochała się po uszy. Gilan był wysoki, zabójczo przystojny, pełen uroku, ujmujący i obdarzony poczuciem humoru. Temu wszystkiemu towarzyszył dodatkowo jakże pociągający nimb tajemnicy wiążącej się z jego statusem zwiadowcy. Jenny знаła dotąd tylko jednego zwiadowcę, czyli ponurego brodacza, Halta. No, i oczywiście jeszcze Willa. Tylko że jego znała od maleńkości i jakoś nie kojarzył jej się z żadnymi romansowymi sekretami. Natomiast Gilan był po prostu cudowny! Obiecała sobie, że nie pozwoli nikomu odebrać go sobie przez całą resztę wieczoru.

Gdy orkiestra odegrała pierwsze takty „Na zawsze razem”, tradycyjnego tańca weselnego, Willa ogarnęła panika.

Halt i Pauline powstali z siedzisk, goście również unieśli się i zaczęli bić brawo, spoglądając, jak ruszają ramię w ramię, schodzą z podwyższenia i kierują się ku wolnej przestrzeni pozostawionej dla tancerzy.

– No nie, ja nie będę tańczył – rzucił Will przez zaciśnięte zęby. – Przecież nie umiem.

– Musisz – wyjaśniła mu przymilnie Alyss. – Miejmy nadzieję, że szybko się uczysz.

Popatrzył na nią. Wiedział już, że nie ma ucieczki.

– No cóż, przynajmniej nie będę osamotniony – zauważył. – Halt także nieźle się zbłąźni.

Nie przyszło mu jednak do głowy, że lady Pauline nigdy by nie dopuściła do czegoś podobnego na swym ślubie. Poprosiła więc o pomoc zaprzyjaźnioną damę i oto lady Sandra we własnej osobie zgodziła się udzielić zwiadowcy kilku niezbędnych lekcji. Małżonce barona, doskonałej tancerce, uczynienie zeń wprawnego tancerza zajęło zaledwie kilka godzin. Miał przecież doskonałe wyczucie równowagi i doskonałą koordynację ruchów. Teraz on i Pauline sunęli po parkiecie jakby przez całe życie nie robili nic innego. Zebrani najpierw oniemieli ze zdumienia, potem rozległ się głośny aplauz.

Will poczuł na swym ramieniu rękę Alyss. Pociągnęła go, by wstał.

– Naprzód, niezdarco – ponagliła go.

Will zdawał sobie sprawę, że żadnym sposobem się nie wyłga. Zszedł przed nią po schodkach, po czym podał dziewczynie ramię. Tylko co dalej? Tego nie wiedział.

– Ręka tu – nauczyła go. – Nie ta, głupcze. A teraz druga ręka, tak... Gotów? Zaczynamy lewą nogą, na trzy. Jeden. Dwa... A co on tu wyprawia?

Patrzyła nad jego ramieniem w stronę głównego wejścia do sali, gdzie zapanowało dziwne ożywienie. Ośrodkiem tegoż była roślina, niechlujna postać brodacza, który spierał się zawiązanymi z próbującymi go powstrzymać sługami. Po futrzanej kamizeli i rogatym hełmie nietrudno było zorientować się, że nowo przybyły jest Skandianinem.

Coraz więcej gości zaczęło odwracać się w tamtą stronę, toteż Horace ruszył co prędzej ku wejściu, by zorientować się, w czym rzecz. Jednak już po kilku krokach zatrzymał się, zdumiony, bowiem rozpoznał przybysza, a w tej samej chwili także Will zorientował się, kim jest nieoczekiwany gość.

– To Svengal – stwierdził młody zwiadowca.